

– Jest zimno... nawet bardzo – przesunął oselką po ostrzu topora. – Do tego mokro jak diabli – mamrotał pod nosem krasnolud.

– Nie narzekaj tak, dowódcy to nie przystoi – mężczyzna siedzący na pniaku obok zaśmiał się. Był to elf, jednak jak na przedstawiciela swojej słynącej z urody rasy, wyjątkowo paskudny. Trzy długie blizny rozcinały jego niegdyś urodziwe oblicze od prawego oka aż po lewy kącik warg. Uśmiechał się półgębkiem. Lewa strona jego twarzy była od lat sparaliżowana, z wyjątkiem oka, to było wyjątkowo sprawne.

– Za to elfowi nie przystoi być tak paskudnym – rzucił, nie odrywając wzroku od swojego wielkiego, czarnego topora. Sam nie był wiele piękniejszy od towarzysza. Długa czarna broda przyprószona siwizną oraz setki mniejszych bądź większych blizn zdobiły jego twarz.

– Znowu zaczynacie? – Trzeci z kompanii także był krasnoludem, jednak zdecydowanie młodszym od swojego pobratymca. Oparty o jodłę wpatrywał się w wielką równinę przed nimi upstrzoną gdzieniegdzie kępami drzew i zarośli.

Stali na wzgórzu Kamiennego Półksiężycy. Od lewej byli osłonięci wielkimi kamiennymi ostańcami przechodzącymi w niewielkie góry zakręcające coraz bardziej na wschód, tworząc Kamienny Półksiężyc. W samym centrum niewielkiego pasma, kilka mil od wzgórza wznosiło się miasto zbudowane czterysta lat temu przez Libberta Kamiennego. Z kolei kilka metrów od wzgórza wznosiło się obozowisko, wzniesione kilkanaście dni temu przez najemników oraz armię królewską.

Ich sprzeczkę przerwało przybycie rycerza z południowego obozu. Był to wysoki, jasnowłosy mężczyzna na skarogniadym koniu, ubrany w pełną płytową zbroję koloru srebra oraz płaszcz zwisający z lewego ramienia, hełmu nie miał. Jeździec zdawał się spijać całą wspaniałość z otoczenia i oddawać ją ze zdwojoną siłą. Pochylił się lekko w siodle na znak powitania.

– Piękny dzień na bitwę, prawda krasnoludzie? – zdawał się nie widzieć towarzyszy starego Niziołka, ani dziesiątek innych ludzi i nie ludzi, którzy go mijali. Kompani starego zdali się przywyknąć do takiego traktowania. Elf bez większego zainteresowania przybyszem z namiotów królewskich zajął się swoim łukiem. Młody krasnolud natomiast powrócił do kontemplowania przygotowań w obozie najemników, zwanym także północnym obozem.

– Rycerz... jak ja nienawidzę rycerzy – wymamrotał pod nosem, nie odrywając wzroku od topora z czarnej stali. – Nieprawda pajacu w srebrnej zbroi, to najgłupszy możliwy dzień na natarcie. Jest prawie południe, ledwo przestało lać i wszędzie pełno błota. Tak! To genialny moment na atak! – ledwie powstrzymał się od wypowiedzenia tych słów głośno.

– Każdy dzień na bitwę jest dobry – burknął niechętnie.

– Zwracaj się do Sir Lanca z należytym szacunkiem, Niziołku! – Młody, na oko trzynastoletni chłopak pojawił się przy boku konia. Dzierżył w rękach posrebrzany hełm. Krasnolud popatrzył na niego z ciekawością, nie odrywając oselki od ostrza.

– Ser je się do obiadu, więc o ile nie jesteś kanibalem, to przymknij jadaczkę i daj dorosłym rozmawiać, giermku.

– Jak śmiesz, ty karle! Nie zdajesz sobie sprawy czyim synem jestem? – jego głos niemal przeszedł w pisk, czym zdał się bardzo zawstydzony. Kilku najemników przerwało przygotowania i zaczęło przyglądać się scenie z rozbawieniem. W mgnieniu oka nawet giermek zrozumiał, że posunął się zdecydowanie za daleko, nie rozmawiał ze służącymi, a z dowódcą Smoczej Kompanii. Mówiono o niej, że jest nieludzko dobra, głównie dlatego, że nie służył w niej żaden człowiek. Rhagar Czarny Topór podniósł się powoli, odrzucając oselkę i zanim

ktokolwiek, z wyjątkiem elfa, zdążył zareagować stał tuż przy chłopcu z toporem przytkniętym do jego gardła.

– Rhagar! – elf lekko podniósł głos, na jego w pół sparaliżowanej twarzy widać było zdenerwowanie. Na twarzy chłopaka, przerażenie.

– Virax z Kartelu... – mówił powoli, a odór cebuli i grochu wciskał się w nozdrza giermka. – Syn Viraxa VI, ocalony trzynaście lat temu przez Smoczą Kompanię podczas oblężenia rodowej twierdzy... Dumni rycerze zbuntowali się przeciwko twojemu ojcu, a ten nie miał nadziei na ratunek dla swojej rodziny... hm... Nie każ mi po latach odbierać życia, które ocaliłem, to nie miałoby sensu, a ja nie lubię robić czegoś bez sensu. – jego głos był równie zimny jak stał topora.

– Rhagarze! – powiedział bardziej zdecydowanie elf. Był niemal pewny, że nie dojdzie do rozlewu krwi, przynajmniej na razie. – Tylko nie palnij niczego głupiego szczeniaku, nic głupiego! – powtarzał w myślach.

– Czego chcesz, Vanse? – odwrócił się wyraźnie zdziwiony do elfa. – Thordir, gdzie moja osetka? – zwrócił się do pobratymcy stojącego niewzruszenie pod drzewem. – A wy, na co się gapicie? – popatrzył na zbiegowisko – Do roboty, bo nie dostaniecie złamanego grosza!

Gdy gapie się rozeszli, a chłopak potykając się kilkakrotnie zniknął z pola widzenia zostali na szczycie we czwórce. Lanc zszedł konia, przywiązał go do drzewa i stanął obok Thordira.

Spoglądał to na przygotowania najemników, to na mury miasta. W dalszym jednak ciągu zdawał się widzieć jedynie Rhagara.

Ciąg dalszy nastąpi

Jakub Drupka 1g